

Budzę się o świcie. Nie, że jasno, nie że ciemno, takie chuj wie co, jakby rzeczywistość nie mogła się zdecydować którą z form przybrać. Pierwsza jest łazienka, nie, pierwszy jest łyk piwa, najlepiej z sokiem, ale soku z pewnością nie ma. Znajduję jakieś otwarte na stole, przechylam. Teraz się rozglądam, ale to, co widzę jest trudne, za dużo szczegółów, więc łazienka. Nie popisali mnie, nie jestem poklejony, cóż, odpadłem to odpadłem, na chuj drażyć temat? Wracam do pokoju i dziwi mnie, że jestem sam. Całkowicie zapominam o drugim pomieszczeniu i wynajduję kolejne piwo, tym razem nie otwarte, tym razem niewygazowane, tym razem dobre, no, może nie tyle dobre, co przyswajalne bardziej. Piję duszkiem, nie tak aby zapomnieć, tylko tak, żeby nie bolało, żeby przestało być niepokładanie w umyśle. Spoglądam na drzwi i dopiero teraz wiem, że ci, co nie przetrwali, wygodnie sobie śpią za nimi, na łóżku. Dopijam piwo, wraca mi temperatura i ogólna chęć. Chuć.

Dobrze jest czasem nie walczyć z myślami, szczególnie gdy jest się przepitym, wtedy dobrze po prostu odpuścić i wziąć się za kolejną flaszkę, ale wiem, wiem, to takie koło, potem już nigdy trzeźwość nie jest tym czym ma być, a endorfiny można jedynie sztucznie odzyskać. Ale bądźmy szczerzy, każdy chce być szczęśliwy jak najdłuższej do chuja wafla. Nawet sztucznie. Widzę to w żulach zalanych z rana, widzę, iż pragną być radośni bardziej niż są wtedy, gdy nie są zalani. Wiecie co czuję? Kilka razy się zastanawiałem o co mi chodzi, po co tak na nich patrzę? Z zazdrości. Ja cholernie chciałbym być na ich miejscu. Nie w sensie materialnym czy kondycyjnym, ja zwyczajnie nie chcę jechać do pracy, pragnę być najebany z rana tak jak oni i czuć się najebanym na wskroś. Jara mnie ten błędny wzrok na przystanku autobusowym, albo jego brak, ta cała obojętność w pełni. Pijak śpiący na przystanku w porze rannej to skarb, to jeden z ostatnich okazów totalnego braku w wiary świat rzeczywisty.

Wraca nie tylko temperatura z tym i tym, wraca również pogląd, percepcja bez oczywistości przekazu; niby wiem, niby czuję, rozglądam się, ale wszystko przez filtr łykam do wnętrza, pozwalam rzeczom być dokładnie tym czym są. Nie nadwyreżam kształtów, nie myślę na opak, jestem.

Jest butelka, dobrze, będę pił. Jest burdel, rozumiem, nie sprzątam, niech sobie jest. Reszta śpi, chuj, niech śpią. Odsłaniam roletę, pewnie już domyślacie się jaki w tym cel, no właśnie nie tym razem, nie po to, żeby to z zewnątrz przyszło do mnie, raczej, abym zobaczył jak powietrze razi sobie z tym *na zewnątrz*. Czysta, niezachłanna ciekawość. Perła wśród wiedzy. Co mi to da? Kompletnie nic. Łyk, dwa, i tak sobie latam, taki mam styl poranny, niektórzy idą na siłownię, do pracy, inni odśnieżają lub jadą gdzieś swoim volvo, inni – nie ja.

Ja sobie piję tak, aż mi się skończy. Aż ujrzę przez dno w flaszcze powiększoną możliwość zrobienia czegoś fajnego. Można by i pograć, nawet wessać sobie mogę – uprzednio skruszając, mogę całość mieć dla siebie. Poranne doprowadzanie się do porządku to zastrzyk sił niemożliwych; mam tu na myśli poranne wypicie kilku gramów. Innymi słowy: dobrze pierdolnąć piwko skoro świt.

Za oknem chujnia, sztucznie, śnieg zamiast w dół to w górę, przez wiatr? Albo coś innego go przyciąga, inna grawitacja – ciekawsza. Może zobaczył ochłapy człowieczeństwa i zawrócił, chuj go tam wie. Ludzie zakryci, szaliki odcinają ich od mrozu, idą i idą pod wiatr te sukinkoty, te człapiące karykatury, mam ochotę pomachać im z okna, tak też czynię, ale komu tam na myśl przyjdzie, że w parterowym oknie wita ich taki ja. Idą do pracy? Możliwe, godzina akurat w sam razowa na poranną zmianę.

Tylko brak podkładu muzycznego sprawia, że ich codzienność jest doprawdy codziennością nie fil-

mem. Przyglądam się im i mam wrażenie, że gdzieś to widziałem, jakbym znał każdą z tych osób, albo tak naprawdę ci na zewnątrz to nie oni, tylko ja.

Gdzie tak gnacie? Idę za panią z parasolem, za panem bez ale za to w czarnych spodniach, za młodym w czapce z pomponem, za staruszką w skórzanych rękawiczkach, za panią w okularach, wchodzę do sklepu na pierwsze piętro, do biura, do warzywnego, do piekarni, kupuję bilet miesięczny w kiosku, dołączam do kolejki w przychodni. Ich dzień staje się moim; wklejam się w kontur i jest tak, jakbym od zawsze był nimi nie sobą. Zapominam o wszystkim tu, eksterioryzacja w pełni, jestem tym i tam-tym, jestem tam.

Stojąc z piwem w oknie, i to o wschodzie słońca, można być wszystkim wszędzie. Co tylko chcesz. Zastryk poprawy nastroju, łyk, drugi, kolejny. Zastryk możliwości.

Prawa ręka ląduje w spodniach i myślę typowo jak na poranek po nocnej wódzie, że chętnie podgoliłbym małego. A co. Zaczynam memlać ręką na dole aż robi się twardy i trę. Tarło odpierdalałam. Tym razem ląduje w łóżku u Klaudii i wspominam. Albo tworzę nowe wspomnienia.

Przy jej czarnej cipie jestem, czarnej tak jakby ją węglem tarła, a w środku różowa, na pewno jest różowa. Musi taka być. Tylko tak sobie ją wyobrażam; różowa w środku - *Mon Cheri* Afryki.

Dla twoje cipy jestem, czarnej.

To moje *katharsis*.

Nie *jestem*, śpiewam. A *to*? Nie tyle śpiew, ile rowki w płycie analogowej. Oczami po nich jak igłą od gramofonu. Szelest, szmer, tu głośniejsze, tam ciszej. Wiatr. Nie, że wierzby szumią złowrogo, napierdalają! Wylane soki ze środka, dzieci na twarzy, piersiach, na udach. Mlask. W tle cisza. Stadion ciszy.

Za mną wykastrowane kaczkę, pluszowe misie, rury, mięśnie brzucha, plastry nikotynowe, rak jamy ustnej i guz w wielkości pomarańczy. Śmierć. Rynsztok. Za mną bojerka, parasolki, widły, szympansy grające na wiolonczeli i ciężkie nokauty rzeczywistości.

Czymże ja? Marsem? Wenus? Całą galaktyką? Rozszerzającym się tym u góry? Czarną, wielką dupą pochłaniającą połacie czasu i przestrzeni? Tymże? A memlałam w jajach jak pizza. Gra *XIII Eine kleine Nachtmusik* a ja zaczynam do niej tańczyć. Stepować. Księżyc w rękę, betonowe buty na szkitach, step po stepie, jak marionetka w rękach pijanego Boga. Wymykam się mu ze sznurków i zaczynam się śmiać na całe gardło, bo czymże on? Nachlany, nie szuka mnie nawet, a gdyby chciał to i tak mnie nie ma, za rogiem dawno, idę i gwizdę sobie pod nosem.

Wycieram dłoń w obrus, biorę łyk piwa. To jest rzeczywistość. Prawda, w której nie ma nic. Nawet jezior.

Nie ma fasad, żadnych kotów na dachach kamienic, o drzewach też zapomnij. I o kotkach na nich. Trochę tylko za oknem tych krzaczków. Akurat pora na cięcia zimowe, gałęzie będą drapać maszynką, czy ból tam będzie? Czy będę go czuł?

Rzeczywistość która nie ma zapachu, nie ma w niej koreczków śledziowych po kaszubsku, kaszubskich ojców, braci z północy, pusto. Nie ma Żydów. Polaków nie ma. Polako-Żydów, żuli, skośnych, nic.

Pusto. Nie ma już dymu nad kominem, kamienic w Piotrowicach, nie ma brokułów, masła, musztardy, naczyń, nic. Nie ma stolików szwedzkich, radia na parapecie, radio? Nie ma Manna, Listy. Nie ma urodzin, zgonów, gazu w mineralnej, gazu w wódce, gazu w Auschwitz, pusto.

Żadnych godzinnych plaż, i piasków. Tramwajów w Lizbonie, żadnych wąskich przejść, tych cieniutkich jak makaron ryżowy, wschodów nad byle miastem, nic. Nie ma miejscowości, chleba na naturalnym zakwasie, już nie mówiąc o mandarynkach w grudniu, bo ich też nie ma. Tabletek, poronień, wypadków, smoły, smolistych, smogów, nie ma Turnera ani Pueblo. Nie ma pierogów ruskich, litewskich, japońskich, dolnośląskich. Nie ma parkingów dla niepełnosprawnych, i wózków inwalidzkich – inwalidzi chodzą rękach, albo do tyłu. Tyłem. Widzieliście kiedyś coś takiego? Jak jeszcze były te wózki, jak przepiękny pan, gej, niepełnosprawny, wjeżdża całkiem przypadkiem kołem w gówno. Widzieliście? A obok reklama: *sprzątaj po swoim psie*. Jej też już nie ma. Taka jest rzeczywistość.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 30.03.2017 22:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.